

# Marian Filar

---

## Niech żyje sport!

---

Palestra 38/3-4(435-436), 58-60

---

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Co piszczy w prawie

Marian Filar

## ■ Niech żyje sport!

Zadzwonił telefon. Wiem z doświadczenia, że na ogół oznacza to kłopoty. Tak było i tym razem. Redaktor Naczelny w miłym tonie skłaniał mnie do regularnej współpracy z „Palestrą”. Ba, przyjemne kłopoty nie przestają być kłopotami. Każdy zajmujący się nauką prawa wie, iż przygotowanie solidnego, zachowującego rygoru warsztatowe oraz wymogi naukowego anturazu artykułu zajmuje co najmniej kilka miesięcy. A tu naraz stała współpraca? Kiedy znajdę na to czas? Nie, na cykliczne artykuły nie ma szansy! A może stały felieton, spytałem z nadzieją, że usłyszę odpowiedź odmowną, jako, że „Palestra” to nie dziennik czy tygodnik. Bardzo proszę, usłyszałem w słuchawce. No to wpadłem! Choć, tak na serio, nie przesadzajmy z mą martyrologią. Będę miał przecież okazję do regularnych spotkań ze środowiskiem adwokatury, a ta przecież zawsze zajmowała szczególne miejsce wśród prawnictwa. Pozwalam sobie więc proponować Państwu formułę „**co piszczy w prawie**”. Będzie to najogólniejsze zasygnalizowanie podstawowych dylematów i problemów prawnych dziedzin życia bądź nieregulowanych, bądź uregulowanych tylko częściowo, bądź w końcu uregulowanych na tyle ancienne, że wymagających natychmiastowych zmian. Nie będę tu

serwował żadnych recept ani cudownych rozwiązań. Uzdrzawiaczy świata i Kaszpirowskich prawodawstwa mamy wokół aż za dużo. Ja będę jedynie eksponował dylematy i kontrowersje, gdyż rozwiązać problem to wpierv poznać go i spojrzeć nań z różnych punktów widzenia. A więc niech się dzieje co chce, zaczynamy!

Dawno nie oglądałem tak pięknego widowiska sportowego jak olimpiada w Lillehammer. Sportowe tradycje w połączeniu z ogólnym poziomem cywilizacyjnym Norwegów stworzyły grunt do niezapomnianych przeżyć, także intelektualnych. Wrócił prawdziwy sport gdy prawie uwierzyliśmy, że pozostały z niego już tylko zmagania gladiatorów na żadnych krwi arenach, pełnych wyjącej, szowinistycznej tłuszczy gotowej zabić i dać się zabić dla jedenastu facetów w zielonych czy czerwonych majtkach.

I nie jest to żadne podwórkowe amatorstwo, lecz zapierający dech profesjonalizm na najwyższym poziomie. Na tym tle „nasi” wypadli żenująco blado. Jeśli nie liczyć dwu, trzech występów, zajmowaliśmy miejsca w czwartej dziesiątce obok przedstawicieli wysp Bahama. Nie jest to zresztą niestety wyjątek w naszym sporcie. Wiele by pisać o tego przyczynach, nie tu na to miejsce. Każdy doświadczony prawnik wie, iż nawet

najdoskonalszy przepis prawny nie jest w stanie wykreować nowej idyllicznej rzeczywistości. Wie jednak także, co oznacza pustka prawna wypełniana nieudolnym „prawem powielaczowym” lub regulacja „z innej epoki” naciągana następnie dowolnie według różnych potrzeb. Samo prawo nie uratuje oczywiście polskiego sportu, może jednak znacznie w tym pomóc.

Jak zatem wygląda pejzaż prawnosportowej rzeczywistości à la polonaise ad 1994? Względnie nowa **Ustawa o kulturze fizycznej** z 3 VII 1984 (Dz U 34 poz. 181) tkwi swą intelektualną inspiracją w całkiem innej epoce i ma się do rzeczywistości często jak przysłowiowa pięść do nosa. Prace nad jej rekodyfikacją idą wyjątkowo ospale i nic nie wskazuje na ich zakończenie. Uzupełniają to zwały związkowego „prawa powielaczowego” niebywale niskiej rangi legislacyjnej, których nikt, także wydający ani dobrze nie zna, ani też nie zamierza przestrzegać. Adwokatowi, który miał ostatnio „proces sportowy” (a pojawiają się takie coraz częściej) będzie się on długo śnił po nocach. A wszystko to otacza atmosfera dwuznaczności i podejrzanych machlojek podsycana informacjami o przepływających tam podziemnym nurtem jakichś bajońskich sumach, której to nie zniweluje wiadomość o trenerze-zapaleńcu wysyłającym zespół na zawody za własne pieniądze. Polskie prawo sportowe na dobrą sprawę więc nie istnieje, a o obrocie prawnym w tej kwestii lepiej nie wspominać. Dopóki tego nie zmienimy, nie ma co marzyć o podium w Lillehammer czy gdziekolwiek indziej. Na wstępie rozstrzygnąć jednak trzeba trzy zasadnicze dylematy co de-

terminować będzie techniczny kształt przyszłej legislacji.

Pierwsze, to pytanie o **formalnoprawny status klubu sportowego**. Mam na myśli oczywiście kluby zajmujące się sportem wyczynowym na serio, tzw. sport szkolny czy rekreacja choć też ważne, stanowią odrębny i nie tak złożony problem. Czy klub taki powinien plasować się jako stowarzyszenie w płaszczyźnie prawa administracyjnego, podstawą zaś jego działań powinno być prawo o stowarzyszeniach (jak to formułuje art. 59 ustawy) czy też stanowić powinien podmiot prawa gospodarczego, gdzie regulacje prawne opierają się na cywilistycznie inspirowanych przepisach o prowadzeniu działalności gospodarczej? O konsekwencjach takiego wyboru żadnego prawnika nie trzeba przekonywać. Pierwsze, to w miarę spokojna egzystencja na budżetowym garnuszku za cenę biurokratyczno-urzędniczego skrępowania. Druga, to wprawdzie swoboda działania w dżungli wolnego rynku, ale i nieustanna potrzeba aktywności.

Dylemat drugi to pytanie o **formalnoprawny status wyczynowego sportowca** i jego związek z klubem. Czy ma on być jedynie członkiem stowarzyszenia, co w istocie nie stwarza żadnych wzajemnych poważniejszych zobowiązań i stosunki takie (zwłaszcza finansowe) opiera na metodzie „po uważaniu”?

Czy może łączyć ma go z klubem stosunek pracy którego podstawą będzie prawo pracy? I znów nie trzeba być prawnym erudytą, by uświadomić sobie konsekwencje takiego rozwiązania (urlopy, świadczenia socjalne, rozwiązanie stosunku pracy, uprawnienia związkowe itp.), czy na przykład klub

będzie w takiej sytuacji mógł rozstać się z bramkarzem, który puszcza co prawda każdą piłkę, jest jednak przewodniczącym związku zawodowego?

A może stosunek taki oprzeć na w pełni cywilistycznej konstrukcji umowy nie nazwanej w typie umowy zlecenia? A co wtedy np. z problemami ubezpieczeń?

Dylemat trzeci, to **relacje między „Temidą sportową” a, że się tak wyrażę, „Dużą Temidą”**? Sprawa zresztą staje się coraz bardziej aktualna w związku z aferami korupcyjnymi i dopingowymi.

Czy kompetencje „Dużej Temidy” kończą się na progu salonów „Temidy sportowej”, co oznaczałoby, iż w naszym życiu społecznym mamy całkiem sporą enklawę, do której tzw. powszechny wymiar sprawiedliwości nie ma wstępu, wszelkie zaś sprawy załatwia

się „w rodzinie”? A gdzież tzw. prawa podmiotowe, gdzie możliwość kontroli odwoławczej? A może „Duża Temida” ma pełne prawo kontroli swej młodszej sportowej siostry w krótkich majtkach? Czyż więc na rozegranie finału walki bokserskiej np. na mistrzostwach Polski czekać musielibyśmy do rozstrzygnięcia przez sądy powszechne (i Najwyższy – a jakże!), który z uczestników niezadowolonych z werdyktu półfinału zakwalifikował się doń?

Dylematy to niełatwe. Są jednak precedensowe rozwiązania w świecie, działa prężne Towarzystwo Prawa Sportowego, jest więc szansa na prawne przefiltrowanie mętnych wód naszego sportu. Trzeba chcieć to jednak zrobić i zabrać się do tego jak najprędzej. W mętnej wodzie żerują wprawdzie drapieżniki, ale nie łowi się olimpijskich medali!